



Janusz Maksymowicz

część II z II

Sygnatura notacji: **N0572**

Data urodzenia: **27.10.1927 r.**

Data nagrania: **19.04.2024 r.**

Miejsce nagrania: **dom świadka, Warszawa, Polska**

Prowadząca/y rozmowę: **Grzegorz Łeszczyński**

Czas nagrania: **część I: 65 min, część II: 42 min**

Format nagrania: **video**

Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Janusz Maksymowicz: Także tak, rzeczywiście to pamiętam. I co ciekawe bólu nie czułem, tylko takie ciepło, ciepło. Dopiero później okazało się, że to ciepło to wynika z wyciekającej tej krwi, że krew to tak. I proszę powiedzieć, co dalej się działo po 26 sierpnia. Został pan opatrzony, dalej pan walczył. Dalej byłem w oddziale, a później to już żeśmy przechodzili do Śródmieścia. Ja przechodziłem, kiedy to było w sposób zorganizowany dobrze. Stała przy... Był taki wjazd na placu Krasińskich i tam była żandarmeria, patrzyła – taki oddział i zgodnie z grafikiem wpuszczali nas do... Wchodziliśmy do tego kanału, z tym, że to muszę powiedzieć, że było w miarę całkiem dobrze zorganizowane. Dlaczego? Dlatego, że był ten taki sznurek, prawda? Był sznurek od pierwszego do ostatniego i trzeba było tym sznurkiem trzymać się. Nie dlatego, że w tym, tylko było umówione hasło, prawda? Jedno szarpnięcie oznaczało, że trzeba milczeć. Bo jak to się [wiadomo?], to się trochę rozmawia. Dwa szarpnięcia to nie tylko milczeć, ale i zatrzymać się, prawda? Powiedzmy przy trzecim to były takie, że trzeba było przeskoczyć. O co chodzi? Chodzi o to, że jak się przechodziło tymi kanałami – oczywiście pomijam sprawę, że raz były wysokie, raz niskie, w ogóle to makabra. Jak się przechodziło przez tereny, które były zajęte przez Niemców, jak oni się zorientowali Niemcy, że odbywa się bardzo duży ruch kanałami, to na tyle nie byli odważni, żeby wchodzić do kanałów, tylko oni mieli pootwierane te włazy i jakkolwiek tylko był szum, to oni wrzucali wiązki granatów. Jak się przechodziło przez taki ten, to po pierwsze trzeba było zachować bardzo ciszę i po drugie powiedzmy trzeba było się zatrzymać tam ileś metrów przed tym włazem i jeden pojedynczo przechodził i dopiero jak on przeszedł, można było kolejno, czyli pojedynczo, tak, prawda. Z tym, że jak gdyby wrzucili no to jeden zginie, a nie zginie cała grupa. Często jak na spotkaniach czy coś: „A ile to trwało?” No ja mówię „po pierwsze wtedy nikt nie myślał patrzeć na zegarek”. Ja tylko pamiętam, że po południu żeśmy wchodzili, a następnego dnia rano ładne słońce świeciło. Wychodziliśmy na Nowym Świecie przy Wareckiej. Czyli kilkanaście

godzin. Kilkanaście godzin. Bo to nie jest taki marsz, taki sobie po powierzchni, tylko jak mówię w wodzie. Już nie mówię o jakiej co w tej wodzie było, prawda? Różne wysokości, bo to trzeba było tak, żeby w ten punkt, do którego Trzeba. No więc było [niezrozumiałe] wypracowany, a czasami to się szło z takim skulonym, bo to był metrowy czy coś takiego. Bardzo trudny był ten jednak przemarsz. Jedyne to, co ja pamiętam, że myśmy przynajmniej nie błędzili w sposób taki miarę tego, bo niektórzy to pobłądzili. Ci, którzy na własną rękę, ale myśmy przechodzili oddziałem w taki, w sposób taki zorganizowany. No obuwie to się nadawało... Skórzane obuwie tylko wyrzucić. Już o tym wysuszeniu jego w ogóle nie było mowy. No ale jak żeśmy przeszli do Śródmieścia, a Śródmieście akurat nie było atakowane, to patrzymy tam sobie wszystko na poważnie, nawet jak tego to honory oddawali. A myśmy to zupełnie zapomnieli o tego typu ceremoniale, prawda? Nawet były takie pamiętam tutaj, w okolicach tego kina Atlantic to było jakieś tam jadłodajnia czy jak to tam nazwać i jak się miało tam legitymację, to można było pójść i tam jakąś herbatę, coś takiego czego byśmy tego nie doświadczyli na Starówce. Tutaj były i już oni mieli swoje, powiedzmy, te barykady, te punkty obronne. I nasz oddział rozbito na dwie części i część była tu naprzeciwko, mniej więcej naprzeciwko tego domu towarowego, tego dziecięcego, tego domu dziecka, prawda? Nie wiem, on się jakoś teraz inaczej nazywa. „Smyk”. „Smyk” o tak, naprzeciwko mniej więcej, prawda? Tutaj myśmy mieli. A druga część była w okolicach Emilii Plater. Ale myśmy już wtedy tylko byli tymi luzakami. To żeśmy luzowali te oddziały, które były tam, że tak powiem, gospodarzami tych redut czy barykad. To był już wrzesień. To już był wrzesień, to już był wrzesień, to był wrzesień. A kwaterowaliśmy na ulicy Kruczej.

Grzegorz Łeszczyński: Czy z tego okresu zapamiętał Pan takie szczególne momenty wydarzenia właśnie z tej drugiej połowy powstania?

Janusz Maksymowicz: Tak to zapamiętałem, bo tam takim narożnym budynku był taki lokal Nur für Deutsche Krystal się nazywało Nur für Deutsche i tam jak akurat byłem na barykadzie, zobaczyłem, że tam coś kopie Niemiec. Niemiec taki, w tym saperkach coś tam. No to wziąłem go na cel i wystrzeliłem. Czy trafiłem? Nie wiem. W każdym razie już się więcej nie pokazał. A czy go zabiłem? Nie umiem powiedzieć. Bo tam możliwości takich, żeby to na 100 proc. się upewnić, to nigdy nie ma. To owszem, jak tam byliśmy na przykład w Banku Polskim. Jak tam Niemcy atakowali od strony Ogrodu Saskiego to tam zostało trochę tych Niemców zabitych. No to w nocy żeśmy się czołgali głównie po to, żeby wziąć broń i tam trochę amunicji od tych zabitych. Ale tak tutaj, tak tutaj to nie zawsze jest możliwość takiej stuprocentowej pewności czy został zabity, czy został ranny. Ranny szybciej prawda, że się trafiło? I tam już pan na tej barykadzie, w tym oddziale pozostał przez cały wrzesień praktycznie do kapitulacji. Tak, tak, ja tu zostałem do dnia... Ja tam w tym oddziale byłem do dnia zawieszenia broni, bo następnego dnia kapitulacja, prawda? Właściwie zaprzestanie, bo tak w tej umowie było zapisane zaprzestanie działań, prawda? To tak byłem do zawieszenia broni. Była najpierw, w wyniku pierwszych tych rozmów ustalono dzień zawieszenia broni. I ja, tak jak właśnie było to zawieszenie broni, dostałem to skierowanie na Mokotowską do tego szpitala polowego. Już ja do oddziału nie wróciłem, tylko byłem w tym szpitalu do dnia ewakuacji. A proszę jeszcze powiedzieć zmieniały się nastroje wśród powstańców. Jak pan porówna sierpień i wrzesień, kiedy już byliście... – To jednostki myśmy mimo wszystko...

Grzegorz Łeszczyński: Czy wierzyliście jeszcze dalej?

Janusz Maksymowicz: Myśmy wierzyli. Oczywiście gorzka porażka zawsze jest prawda, ale nie żałowaliśmy

tego kroku. Nikt, nikt. Były oczywiście jednostki, prawda? Jak to zwykle. Nigdy nie ma jedności, prawda? Ale ta nasza grupa, prawda? Gorycz porażki i gorycz.

Grzegorz Łuszczynski: Ale we wrześniu, jeszcze przed kapitulacją, wierzyliście, że jeszcze powstanie ma szansę, że...?

Janusz Maksymowicz: Jeszcze wierzyliśmy, prawda? Wierzyliśmy, prawda? No, że jeszcze może coś, prawda? Trzeba było, żeby jednak ta ofensywa z tych przyczółków ruszyła, prawda? A to, co wiem, ja to mam inny. Nie mówię głośno, bo to może urazić tych tych. Wie pan, to, że rzucono tam tamtą, tą trzecią, czwartą dywizję, prawda? Tutaj w ataku frontalnym i bardzo dużo, że tak powiem, zginęło ich bez odpowiedniego przygotowania artyleryjskiego, bo przecież te punkty, jakie Niemcy mieli nad Wisłą, to przecież trzeba najpierw było artylerią zniszczyć. I drugie bez osłony lotniczej, prawda? A ponadto ci żołnierze nie byli przygotowani do walki w mieście. Oni byli przygotowani, nauczeni do walki w polu, na froncie. A tutaj się liczyło walki o każdy dom. Zupełnie inny charakter wojny jest. A chciałbym zapytać jeszcze o relacje z ludnością cywilną zarówno na Starym Mieście, jak i później w Śródmieściu, już po tym jak się Panowie przedostaliście tam. No, reakcja bywa różna, ale generalnie ludność sprzyjała, bo po pierwsze często nam pomagała jakies tam ubrać coś itd. To w tym takiego wielkiego kontaktu z tą ludnością myśmy nie mieli. Dlaczego? Dlatego, że ludność – mówię głównie o Starym Mieście – że ludność była w tych piwnicach, prawda? Ruch odbywał się. To prawda, że były wybijane, prawda jak są te mury oddzielające jeden od drugiego, to to przemieszczanie odbywało się tam, właśnie w tym pod ziemią. A ludność cywilna była raczej w tych schronach, prawda? Bo nie można było nigdy nie wiadomo. To nie było tak jak w 1939 roku jak tam ogłaszano te alarmy lotnicze i dopiero wtedy się wchodziło do tego. I to większość ludności, przynajmniej w tym rejonie, w którym ja byłem, bo trudno jest mówić za całe. Ja nie byłem tam w żadnym sztabie i nie miałem na ten temat jakiejś tam wiedzy. I w tym rejonie myśmy mieli bardzo dobre, prawda w tym. No i jak to zwykle ktoś tam... Te kobieciny „Co to teraz będzie?” Myśmy do końca wierzyli, że jednak to zwycięstwo będzie za nami. Musieliśmy trochę poczekać. I proszę powiedzieć, co się działo już po tym, kiedy pan został ewakuowany z tego szpitala polowego, czyli de facto w czasie, kiedy podpisano kapitulację.

Grzegorz Łuszczynski: Jakie były pana dalsze losy?

Janusz Maksymowicz: To znaczy jakie były dalsze losy? To znaczy myśmy byli trochę później, już w drugiej i gdzieś nie pamiętam, bo pamięć jest zawodna. W każdym razie gdzieś 10 dni później niż przyjmowano oddziały do niewoli, prawda? I najpierw podjechały sanitarki, ale to dla bardzo ciężko rannych. Takich, których w ogóle na noszach, prawda? I ich w pierwszym rzędzie ewakuowano. A po nas podjechały jako tych lżej rannych czy lekko rannych podjechały te ciężarówki, te budy, jak myśmy to nazywali, ciężarówki. Załadowali nas do tych ciężarówek i wywieźli na Dworzec Zachodni. I tam na Dworcu Zachodnim załadowano nas do wagonów towarowych. Tam była tylko o żadnym innym jakimś czymś. Normalnie na deskach pokotem żeśmy leżeli i to był bardzo długi pociąg. Bardzo dużo tych wagonów było. I jak to jak ten pociąg ruszył z tego Dworca Zachodniego, to w tym wagonie byli też również, powiedzmy ci koledzy mojego ojca. To mówią: „Słuchaj, ty jesteś młody, co ty będziesz jechał? Nie wiadomo, jak w tej niewoli będzie, prawda? To spróbuj uciekać”. Ja się trochę bałem, przyznam się szczerze, czy też miałem wahanie, duże wahanie. A w takich Gołbąbkach tam jak ta linia idzie na Sochaczew, to ona tam ma takie zakręty, prawda? Na tych zakrętach...

On w ogóle nie jechał za bardzo szybko ten pociąg, bo był bardzo duży skład, bardzo dużo tych wagonów, a już na zakręcie to musiał to zwolnić. No i mówi, że pod znany mi adres w Gołąbkach na Legionów 8, żeby tam się przechować do czasu ostatecznego rozstrzygnięcia. No ja tutaj z tego wagonu nie wyskoczyłem. Wahałem się, czy to ma sens. Nie wiem, już tak dokładnie nie pamiętam. W każdym razie pamiętam, że strasznie się wahałem, czy uciekać z tego transportu, czy nie. Ale później, przy tym drugim zakręcie, prawie że mnie pomogli i tak mnie wypchnęli. Ja z tego waju, sturlałem się na dół i leżałem dopóki, że tak powiem ostatni wagon nie przejechał. Jak już to przejechał podniosłem się, zacząłem, nie trafiłem pod ten adres, w którym miałem, do którego miałem dotrzeć, ponieważ to była noc. Ciemno w tych domach to tak błądziłem po tym nie mogąc trafić. Adres był mi znany, tylko gdybym wyskoczył tam, gdzie powinienem wyskoczyć. To była bardzo prosta sprawa. Niestety zawahałem się, ale w jednym domu zobaczyłem, że się świeci, świeci się światło. No to zapukałem, a oni przerażeni, bo ja tutaj i czapka, i ta polówka, taka w tym i opaska. No w stroju powstańca. Oni tak mówią, żeby bezwzględnie to wszystko zdjąć. I dali mi tam jakieś tam marynarkę, coś takiego nawet nie mogę, bo bardzo życzliwie podeszli tam, nakarmili, no i mówią tak: „Niech pan się nie gniewa, ale trochę boimy się, bo wpadają tutaj te patrole też”. Na kontrole niemieckie patrole to w związku z tym nie przenocujemy pana tu w domu, ale tam na rogu naszej posesji jest sławojka. To tam jest czysto, to pan niech sobie tam przedrzemie. A wcześniej oczywiście podali mnie, że to zupełnie w innej części jest, ale pomogli mi narysować, jak stąd na tą właściwą ulicę się tam dostanę. Już miałem taki sobie narysowany jakiś ten plan. No i rzeczywiście tam przesiedziałem, tam całą noc, w tej sławojce, jak się zrobił ten świt, już było widno, to poszedłem. Nawet z nimi się tam nie pożegnałem, nie podziękowałem i trafiłem potem pod ten właściwy adres. A tam to była taka... Taki duży plac i taki drewniany domeczek, praktycznie jednopokojowy. To było, że tak powiem, sierżanta takiego Rzeźnickiego, to znaczy właściwie jego siostry własność, która była w Paryżu, ona wyszła... Polka wyjechała tam, wyszła za męża, ale dla brata kupiła taki plac i w założeniu, że tam mu wybuduje ten domek, nie zdążyła, bo zaczęła się wojna. Ale była taka coś nawet w rodzaju stróżówki, taki dom nawet była tam jakaś, prawda góra. No i ja tam, że tak powiem przeczekałem od tego października do 17 stycznia, a obok była taka, prowadziła gospodarstwo, taka pani Lipińska, to jej tam pomagałem. Za to, że pomagałem to miałem, że tak powiem, wyżywienie. No i później jak 17-go. Tam po tym 17-ym. Najpierw człowiek widział jak ci Niemcy pojedynczo nawet uciekali. Różnie, bo jak tylko te ruszyły z tych dwóch przyczółków, prawda? Ofensywa, no to Niemcy bali się, że będą w kotle, prawda? No to każdy kto mógł, to tam uciekał z tych Niemców, prawda? Na Zachód, jak już tam było wiadomo, że już ich nie ma, no to na pieszo przeszedłem te kilkanaście km do Warszawy. Dom zrujnowany. Nie ma naszego mieszkania. Ale dosyć szybko był zbudowany most pontonowy i przeszedłem przez ten most pontonowy, a to też dzisiaj bym nie przeszedł jego, bo to ponton koło pontonu i takie byle jakie deski, prawda? I jak się szło to wszystko się bujało, ale to było później jak był ten drewniany wybudowany to już luksus, prawda? Przeszedłem, no i dotarłem na tę ulicę Nadwiślańską, gdzie babcia mieszkała. I tam u babci byłem póki człowiek tam jakoś nie zaczął funkcjonować. A mama z siostrą i... A mama z siostrą one były wywiezione do Pruszkowa, do tego obozu w Pruszkowie. W Pruszkowie, tak jak wtedy Niemcy, wysiedlili całą ludność, bo podobno w gruzach zostało tylko tysiąc. Warszawa miała milion, trzysta, a tysiąc zostało. A tak, to prawda wysiedlili tam całą ludność. Straty oczywiście były tam dosyć duże i wśród ludności też, prawda? Więc w tym Pruszkowie i tam oni robili selekcje kto, gdzie, co i jak. Natomiast matkę i gdzieś tam przeszedł do jakiejś wsi, żeby pod tym Pruszkowem i tam one przeczekały tę wojnę i spotkaliśmy się wszyscy później u tej babci.

Grzegorz Łeszczyński: I pana ojciec również wrócił z obozu?

Janusz Maksymowicz: Nie, ojciec to była inna sprawa. Ojciec został przeniesiony z Auschwitz do Mauthausen. Mauthausen wyzwolali Amerykanie, ale był tak wycieńczony, że był w tym szpitalu amerykańskim. I z bardzo dużym opóźnieniem był zorganizowany pierwszy transport sanitarny do Polski. I ojciec... Przy czym to było na zasadzie kto chce. Nie było jakiegoś przymusu, że muszą wracać, prawda? I dlatego myśmy nawet z matką uważali, że ojciec popełnił duży błąd, bo gdyby może został w tym szpitalu amerykańskim, to może by tam jeszcze jakoś go tam uratowali. Ale ojciec prawdopodobnie albo przeczuwał, że już tutaj do zdrowia nie wróci. W każdym razie zapisał się do tego transportu sanitarnego. On oczywiście nie dotarł do Warszawy ten transport, tylko wywieźli tych wszystkich, wszystkich tych chorych do takiego sanatorium Krzyżatka się nazywała Polska nazwa. To jest aż w górach, za Jelenią Górą jak się jedzie, to tam do Jeleniej Góry i jeszcze dalej, tam na południowy zachód, w górach takie sanatorium, do tego sanatorium. I stamtąd dostaliśmy wiadomość, że jest ojciec w tym sanatorium w Krzyżatce. I dostaliśmy zgodę, bo wtedy tam jeździli niektórzy na tak zwany szaber. Na te Ziemie Odzyskane jeździli i przywozili. I że tak powiem, wprowadzono konieczność uzyskania zezwolenia. I myśmy dostali, nawet bez jakiegoś większego problemu. Ja i matka dostaliśmy zezwolenie i tam pojechaliśmy do tej Krzyżatki, do ojca. Tylko tyle, że tak powiem, że po pierwsze, że po pierwsze umarł na ziemi polskiej i drugie, że się spotkał z rodziną.

Grzegorz Łeszczyński: Czyli spotkaliście się państwo wszyscy?

Janusz Maksymowicz: Udało się również spotkać z ojcem. Z ojcem w tym sanatorium w Krzyżatce. – Ale już do Warszawy nie wrócił. Nie, nie. – Umarł tam. – Tak, tak. Już nie nadawał się. To był, że tak powiem... To już był w takim ciężkim stanie, bo tam oni w tym Mauthausen ich ganiłi do roboty w kamieniołomach. To były jakieś bardzo ciężkie tego... Warunki. Wszystko miał tam... i egzemę, i płuca, i to wszystko tam naraz się to wszystko zebrało. – Pochowany został w Warszawie. – Tak, tak. Tak, to żeśmy pochowali w Warszawie. Nie... Dobrze, dobrze. W Warszawie. Tak. Państwo wróciliście do stolicy i rozumiem początkowo na Bródnie zamieszkaliście tam. Tak, początkowo zamieszkałiśmy tam u babci, na tej Nadwiślańskiej. I później już jak Warszawa się odbudowywała, to wróciliście państwo też na Stare Miasto czy już nie? Nie, już nie. Już nie. Już nie. To znaczy właściwie to u tej babci. Z tym, że z tym, że matka z siostrą już do tych Gołębek wrócili, prawda. Tam w Gołębkach w tych.

Grzegorz Łeszczyński: A jeszcze chciałbym zapytać, no bo też nie Mogę, jak pan zapamiętał tę Warszawę zniszczoną po 1944 roku, kiedy pan tam wrócił?

Janusz Maksymowicz: No jak wróciłem do tej Warszawy, to oczywiście, jak wszyscy wiemy, jak wycofaliśmy się na przykład ze Starego Miasta i jak się Niemcy zorientowali, że już Stare Miasto nie jest bronione, to oni przecież te Sonderkommando powołali, które szły z miotaczami ognia i dom po domu podpalali, żeby w ogóle tym. No bo Hitler powiedział „zmieść Warszawę z powierzchni ziemi”, prawda? W związku z tym, no to nawet to pochodzenie, bo tego gruzu na ulicach było, prawda? Bo z jednej strony się walił dom, z drugiej strony, no ale już były takie ciężarówki z takim chlebem. Pamiętam, rozdawali żołnierze, powiedzmy, tam można było, taki bochenek chleba też duża sprawa dostać, no ale jak mówię, przeszedłem do tej babci ten most pontonowy i tam żeśmy tam mieszkali. Dopiero później do lewobrzeżnej Warszawy. I chociaż moja matka przeszła tam do Gołębek. W pewnym okresie

czasu, bo tak się złożyło, że ten, który się opiekował Rzeźnicki Władysław to już jak żona była wdową, to wyszła za mąż za niego i w związku z tym miała tam, prawda, takie miejsce. Tym bardziej, że tam bardzo pomagała ta siostra z Francji, bo wtedy można było dostawać i oni tam dostawali takie wsparcie. I tak jak pan wspominał na początku nie ujawniał się pan z tym, że walczył Pan w Powstaniu. Przez pewien okres czasu znaczy ja się nie ujawniałem w UB. Później jakoś to tam nie wiem. Później jakoś to tam mniej przestrzegano. W 1946 roku powołany został taki Komitet Tymczasowy Komitet Stypendialny dla Dzieci i Młodocianych Uczestników Powstania Warszawskiego. I ja się tam ujawniłem. On mieścił się tam w Czytelniku na ulicy Wiejskiej. I tam dostawałem pieniądze i możliwość uczenia się, ponieważ byłem zapóźniony w nauce, bo musiałem przerwać. A z kolei byłem wychowywany w takim duchu, że liczy się tylko konkretny zawód. A więc tam stolarz, ślusarz, tokarz i tak dalej. A na urzędników to się mówiło gryzpiórek. No taka była mentalność wśród tych ludzi, prawda z klasy robotniczej, jak to się kiedyś mówiło, prawda? No i w związku z tym i trochę w warsztacie pracowałem w jednym i drugim w czasie tej okupacji, to poszedłem do Gimnazjum Mechanicznego. I ukończyłem Gimnazjum Mechaniczne. Otrzymałem dyplom czeladnika w zawodzie ślusarstwa narzędziowego. I moja pierwsza praca była w Państwowych Zakładach Inżynierii w Ursusie, w tym słynnym naszym Ursusie. Ale tam pracowałem krótko i tam była strasznie beznadziejna praca. Polegało to na tym, że akurat mnie przydzielono do reberówki [?]. Był majster i już nie mówię o kierowniku wydziału, ale był tam majster i był ustawiacz. Ja nie mogłem nic ustawiać maszyny, bo to musiał ten ustawiacz. Ja tylko miałem nadzorować czy wszystko jest ok, że woda musi być, że to musi być to chłodzone, a ta reberówka tam, masówka jakiegoś, to tam te elementy obrabiała i w tym. No i myślałem co dalej, bo w ogóle początkowe moje marzenie było, żeby po linii technicznej do szkoły albo Wawelberga, albo Politechnika, ale jeszcze wcześniej już nie pamiętam w którym roku, bo nie pamiętam w 1948 czy w 1949. Takie plakaty były dwa. Jeden to „Armia Krajowa zapluty karzeł burżuazji [reakcji]”, a drugi „Nie matura, lecz chęć szczerą zrobi z Ciebie oficera”. To złożyłem podanie, że chcę się dostać do Oficerskiej Szkoły Marynarki Wojennej, a nie miałem matury. No bo „nie matura”, prawda? Tylko miałem to gimnazjum, prawda? I tak egzaminy zdałem i już byłem na liście, że egzaminy zdane. A później druga lista przyjętych. A mnie tam nie było. Nie wiem, kolor włosów czy oczu im się nie podobał i nie zostałem przyjęty. W związku z tym zacząłem pracować i musiałem zdać maturę w liceum. Ale wtedy liceum techniczne było 3 lata, a inne licea były dwuletnie. To ja poszedłem do takiego 2-letniego liceum, Liceum Administracji Finansowej na Nowogrodzkiej było po wojnie przez ileś tam lat, póki Warszawa nie była tak odbudowana. To w jednej szkole w jednym budynku były tam dwie, a czasami i trzy szkoły, prawda? Po prostu na zmiany. To liceum poszedłem do niego, że ono było na drugiej zmianie, a ja pracowałem i pracowałem. No ale nie mogę powiedzieć, bo godzinę czy dwie był zwalniany człowiek wcześniej na podstawie tego, że się uczy. No i jak skończyłem to liceum, to Liceum Administracji Finansowej. Technik finansów. A wtedy wprowadzono przepis, że każdy, kto kończy tę szkołę, maturę, dostaje nakaz pracy. Nie to, że sobie idzie i wybiera tylko nakaz pracy w tym. Aczkolwiek to był jeszcze i miał tam człowiek coś niewiele do powiedzenia, bo jak się skończyło i tę maturę człowiek już miał, prawda, no to przychodzili przedstawiciele resortów i brali do swoich resortów. No i mnie zaproponował z Ministerstwa Handlu Zagranicznego do resortu handlu zagranicznego. No nie bardzo, to tak mi to w tym, bo to po linii technicznej, ale mówię dobrze, bo to perspektywy w tym. No i z nakazu pracy trafiłem, zostałem skierowany do takiej firmy spedycyjnej CE Hartwig się nazywał. To firma, która i przed wojną była taka, która zajmowała się organizacją transportu i spedycji towarów w imporcie i w eksporcie. No i tam przekiblowałem ileś tam czasu, prawda? I później, że tak powiem do Szkoły Głównej Handlowej. A później krótko się po tym zmieniła. Zmieniła się na nazwę, na Szkołę Główną Planowania i Statystyki. Już odszedłem od tej techniki. No nie wiem, czy to akurat jest interesujące. Nie, to jest

jeszcze interesujące w kontekście tego, czy pan jakoś później też ujawniał to, że pan walczył w Powstaniu, czy to jakiś miał wpływ na życiorys. To się przeważnie starało się omijać ten temat. Omijać, nie... Niezbyt to dobrze. I nawet ci kadrowcy „nie pisz, bo to tego”. Nawet ci kadrowcy. Tak. Lepiej było to wszystko pomijać.

Grzegorz Łeszczyński: A czy spotykał pan się z kolegami gdzieś nieformalnie, że tak powiem, w czasach?

Janusz Maksymowicz: To raczej nieformalnie. Formalnie to nie bardzo było tak. Nie bardzo można było, ale już później jak już, to zebrało po tym okresie, bo najgorszy okres to był do 1956 roku. To ten okres stalinizmu już później od tego, no to później tam już się ujawniłem w tym sensie, że wstąpiłem do tego ZBoWiD-u, bo było już zjednoczenie tych wszystkich, bo wszystko się zjednoczyło, prawda? Nie tylko partie, nie tylko organizacje młodzieżowe. Kombatanci też. No, także do 1956 roku raczej starał się człowiek nie wspominać i nawet kadrowiec mówi: „Nie pisz o tym, bo to to”. Bo tam też byli ludzie, nie wszyscy byli, prawda? No lepiej, mówi, nie pisać o tym.